

CZAROWNIK.

komedya ze śpiewami w 2 aktach.

Opracował

PIOTR KOŁODZIEJ

z Siemianowic.

BYTOM.

1887.

Nakładem autora.

Drukiem „Opiekuna Katolickiego.”

10176/66

213289

SL 1161c

I

OSOBY:

Michał Grządziel, wójt gminy
Janek, jego syn.

Stanisław Melodya, organista.

Magdalena, jego żona.

Hanka, ich córka.

Marynka, jej przyjaciółka.

Wilhelm, urlopnik.

Józef Kamiński, akademik.

Wieśniacy.

Rzecz dzieje się w małej wiosce.

Akt I.

(Scena przedstawia wolne miejsce, dokoła zieleniące. Po lewej stronie chata wieśniacza, po prawej głębokie krzaki i drzewa, dalej widać szczyty dalekie)

S C E N A 1.

J ó z e f

(wchodzi w ubraniu podróżnym, w kapeluszu, ogląda się po scenie i mówi)

Jakże tu pięknie i miło. — Ustroń
dziwne czarowna! pełną piersią czerpiesz
ty powietrze i krzepisz się balsamiczną
tych ciemnych lasów, które się jeżą na
tych niałych górach. Czuję się tu tak swobodnie



tak lekkim i rzeźwym! — Nie daremnie to Szyler zawołał: „Na górach wolność.“ (ogląda się) Od dawna pragnąłem zrobić wycieczkę po tej uroczej części naszego kraju, by po dusznej atmosferze odetchnąć czystem powietrzem, by odświeżyć umysł po zmudnej pracy przy księgach i odpocząć na łonie wiejskiego spokoju i wiejskiej prostoty. Przyjaciele moi bogatsi, którzy w zagranicznych kąpielach spędzają lato, śmiali się ze mnie, gdy im powiedziałem że pojedę w nasze ciche ustronia wiejskie. Dziś ja z nich się śmieję (ogląda się.) Piękny cudny widok. Tylko jednego jeszcze brakuje. Brakuje piosenki, piosenki rzewnej, coby tęskną nutą popłynęła po rosie i drżącym echem uniosła się gdzieś nad górami — niebem a ziemią! — (Hanka śpiewa za sceną.) A to co? ... widać że nie jestem poetą, lecz że nadto stoję pod opieką jakiejś czarodziejki przychylniej, która spełnia wszystkie moje życzenia, A jaki to smutny, i tęskny głos!.. Jakby wprost z jakiegoś wyrывał się serca. Kto to śpiewa? (ogląda się do koła i idzie w głąb.)

S C E N A 2.

H a n k a, M a r y n k a
(wychodzą naprzód sceny.)

J ó z e f

Oho! dwie dziewczyny wiejskie! Niesplotę ich nagle. (chowa się za krzaki.)

Ś p i e w I.

H a n k a

(z smutną miną.)

Snuje się doliną
Dniester srebrnosiny,
W gorzkim żalu płyną
Dni biednej dziewczyny.

A Dniestrowa skarga w modrych falach tonie.

A dziewczynie boleść utonęła w łonie.

Darmo się Dniestr skarży
Za swoją kochanką,
Darmo dziewczę marzy
O weselnym wianku.

Tęskne fale Dniestru rozbiły sklepienia,
Żli ludzie niweczą dziewczyny marzenia.

Nigdy się nie wróci
Srebrna fala rzeki,
Dziewcze nie porzuci
Bo kocha na wieki.

Dniester rzewnie nuci, ale dalej płynie,
Dziewczę będzie kochać dopóki nie zginie !

J ó z e f

(pokazuje głowę).

Otóż macie! co za piękne dziewczyny, przy
którychby nawet Katkow zapomniał o nakłada-
niu cła na górnośląskie produkta Ta co śpie-

wa, to bardzo piękne dziewczę! Ale zdaje mi się że zakochana aż pod uszy, wszak tak smutnie, tak rzewnie śpiewała... (ukrywa się.)

M a r y n k a.

Ej Handziu wiecznie zawodzisz i zawodzisz. Już mnie aż serce boli patrzeć na ciebie, i słuchać tej żałobnej śpiewaczki. Jak tak dalej będzie, to zmarniejesz na nic!...

H a n k a.

Alboż niemam czego zawodzić? oj! ciężka moja dola, bodajbym się była na świat nierodziła!

M a r y n k a.

Patrzcie, wielkie rzeczy! przecież cię Janek kocha serdecznie i nie opuści cię pewnie!

J ó z e f

(pokazując głowę).

Zgadłem! zgadłem! brawo! zakochana.

H a n k a

(do Marynki).

Mówisz jakbyś dopiero wczoraj do wsi przyszła! cóż z tego że mnie Janek kocha, a ja go z całego serca, kiedy rodzice ani rusz nie chcą

przytać na to, abyśmy się pobrali, tylko chcę koniecznie abym poszła za tego cudaka, młynarzewego Wilusia (szłocha.)

J ó z e f

(pokazuje głowę.)

Zgadłem, zgadłem, brawissimo i nieszczęśliwie zakochana! (ukrywa się.)

M a r y n k a

(do Hanki.)

Za tego włóczykija, co szwargoce jak żyd, a chodzi jak ten kogut u Jegomości, co to go aż z za morza sprowadzili?

H a n k a

(wesoło.)

A jakże, a wygląda jak pies w prześciera-dle, albo jak strach w konopiach co go to ludzie stroją z tyki i starego żołnierskiego kabata. A jak rozpuści język, to akuratnie tak jak, oś nie-smarowana (śmieje się) ha! ha! ha!

M a r y n k a

(śmieje się.)

Ha! ha! ha! a zawsze do góry głowę trzyma jakby miał kukurydzę w gardle!

J ó z e f

(pokazuje głowę.)

Śmieją się, już po deszczu pogoda!

(ukrywa się.)

H a n k a

(śmieje się.)

Ha! ha! ha! a jak tańczy to tak, jakby
kto dwoma miotłami od razu śmiecie zamiatał.

(śmieją się obie.)

J ó z e f

(pokazuje głowę.)

Oho! jakiegoś nieboraka wzięły na języki,
mówcie co chcecie, kobiety wszędzie jednakowe.

(ukrywa się.)

H a n k a

(do Marynki.)

I za takiego chcą mnie ojcowie wydać! o
ja nieszczęśliwa, ja się utopię z rozpaczy jak mnie
z Jankiem rozłączycie (płacze.)

J ó z e f

(pokazuje głowę.)

Płacze! aha, teraz na śmiech następuje kolej.

M a r y n k a
(do publiczności.)

Otóż macie ! już znowu beczy... (do Hand-
ki) Ej Handziu, Handziu, wybij sobie z głowy
ten żal, już to jakoś będzie. Tyś taka piękna, i
młoda.... A teraz bądź zdrowa, a nie smuć się
to przecież jakoś będzie (odchodzi.)

J ó z e f
(pokazuje głowę.)

Będzie jakoś, piękna pociecha (ukrywa się.)

S C E N A 3.

H a n k a i J ó z e f (ukryty.)

H a n k a.

Marynka mówi że ja piękna... o ... o to
nie ona pierwsza mi to powiedziała. Już to ja
sama wiem że jestem piękna; gdy pierzę chusty w wo-
dzie, to się lubię sama sobie przyglądać (uśmie-
cha się.)

J ó z e f

(z ukrycia.)

O kobiety ! kobiety, wyście wszystkie jedna-
kie, czy w krynolinie i paryzkim szalu, czy w
wiejskiej sukni i zapasce, u was jedna i ta sama
natura.

H a n k a.

A jak się wszystkim chłopcom podobam, a
osobliwie Jankowi. Ho ! ho ! na psa urok ! Dyc
on zawsze śpiewa do mnie tę piosnkę o Handzi
pięknej. A więc ja ją tu sobie też na pociesze-
nie zaśpiewam :

Ś p i e w II.

Nie masz w świecie jak Haneczka,
Jak korale jej usteczka,
Oczki czarne ogniem płoną,
Tchem wiosennym słówka wioną.

Czy zaśpiewa — czy zapłaczę,
Serce głośnieję zakolaczę,
Dusza rośnie, głowa płonie,
Gdy twe białe ściskam dłonie.

Handziu piękna, Handziu miła
W sercu mojem tyś utkwiała,
Handziu rybko, Handziu droga
Kochajże mnie, bój się Boga.

S C E N A 4.

J ó z e f, H a n k a.

J ó z e f

(wyskakuje z za drzewa i chwyta Hanke za rękę.)

Brawo! brawo! Handziu pięknieś śpiewała.
(Hanka wydaje okrzyk przestachu.) Nie bój się
Handziu! nie bój! wprowadzie ja nie Janek, ale
człowiek także.

H a n k a.

A paniczyk z kąd się tu wziął?

J ó z e f.

Spadłem z nieba...

H a n k a.

Z kąd?

J ó z e f

(pokazuje do góry.)

Z tamtąd; z nieba.

H a n k a.

Ej! co wy też mówicie?

J ó z e f.

Prawda Handziu, jak cię kocham.

H a n k a.

A z kądże wy wiecie, że się nazywam Han-
dunia?

J ó z e f.

O — ho ! ja wiem wszystko a wszystko, wiem nawet że ty kochasz Janka, a Janek ciebie. Nie prawda że wiem wiele?

H a n k a

(na stronie.)

A to wierutne dziwo (głośno.) A jakże wy o tem wiedzieć możecie?

J ó z e f.

Ja jestem znawca, jestem czarownik.

H a n k a

(nieśmiało patrzy na Józefa.)

Ej nie

J ó z e f.

A to dla czego nie?

H a n k a.

No ! bo czarami tylko stare brzydkie baby się trudnią, a wy . . . (wstydzi się dalej mówić.)

J ó z e f.

A ja przystojny i młody chłopiec ! czy tak?

H a n k a.

Znowuście zgadli! (na stronie.) A to cudo
nie człowiek, on nawet myśli potrafi odgadnąć.

J ó z e f.

A kto ładniejszy, ja, czy Janek?

H a n k a

(skubiąc koniec zapaski nieśmiało.)

Ej! Janek piękny i szykowny, a wam też nie
nie brakuje.

J ó z e f

(na stronie.)

Niema co mówić, otwarta dziewczyna (gło-
śno.) A kochasz ty na prawdę tego Janka?

H a n k a.

O paniczku! z całego serca, bez niego dla
mnie gorzka dola na świecie.

J ó z e f.

A Janek ciebie oczywiście tak samo?

H a n k a.

Ba! a jakżeście myśleli?

J ó z e f.

A jużci tak jak ty, — myślę także, że to bardzo pięknie, że się obaj kochacie.

H a n k a.

Aha pięknie (zabiera się do płaczu) pięknie, kiedy mi się niedostanie, bo ojcowie nie pozwolą. Tylko mnie chcą wydać za Wilusia.

J ó z e f.

Aha? za tego co to chodzi jak kogut Jegomości, wygląda jak pies w prześcieradle, ubiera się jak strach w konopiach, a tańczy jakby kto dwiema miotłami od razu zamiatał?

H a n k a

(z uśmiechem żywo.)

Ten, ten sam! (na stronie) to prawdziwy czarodziej, on wie wszystko.

J ó z e f.

A cóż na to Janek? to zapewnie jakiś biedny?

H a n k a.

Aha! nie wiecie wszystkiego! Janek to syn tutejszego wójta, co ma dużo pola i pieniędzy.

J ó z e f.

No! no! nie rozumiałaś mnie. Biedny dla tego, że się nie może z tobą ożenić.

H a n k a.

Aha, tak to wam wierzę, widzicie paniczku, mój ojciec jest organistą, a jego ojciec wójtem, więc się zawsze okrutnie swarzą, kto z nich starszym w gromadzie.

J ó z e f.

I cóż z tego wszystkiego będzie ?

H a n k a

(z westchnieniem.)

Albo ja wiem co będzie ?

J ó z e f.

Ale ja wiem, pòjdiesz za Janka, i konieco

H a n k a

(z uśmiechem.)

Złote słowa mówicie ! Byleby tak było !

J ó z e f.

Ale będzie, ja ci powiadam ! ja tak chcę i tak zrobię, ja znawca, czarownik.

H a n k a

(nieśmiało.)

U nas inaczej takich panów nazywają.

J ó z e f.

A jakto, jeżeli wolno zapytać?

H a n k a
(nieśmiało.)

Cygani!

J ó z e f.

Piękne imię! niema co mówić, niech i tak
będzie, ale mimo tego wydam cię za Janka.

H a n k a.

Ej jakże to paniczyk robi? oj byłabym wam
wdzięczną aż do samego grobu.

J ó z e f.

Tu masz moją rękę (podawa rękę.)

H a n k a
(wrywa rękę.)

Gwałtu! ojciec idzie (ucieka. Józef odskakuje na stronę.)

S C E N A 5.

J ó z e f

(sam.)

Baczność, bo tu nie trudno co oberwać,
mógłbym doznać wielce zabawnej sceny, której

pamiątkę nie zachowałbym w podróжным dzien-
niku, ale na skórze (ogląda się.) Ale nie ma
nikogo, zapewne mnie zwiodła filutka (chodzi po
scenie. po chwili.) Józefie! nazywano cię zawsze
dowcipnym filutem, użyjże wszystkich twych fint
i fortelów, aby spełnić przyrzeczenie dane tej
dziewczynie (namyśla się.) Do dzieła! trzeba
się będzie tylko bliżej rozpatrzeć. (Słychać stą-
pania nogami.) A to kto? (patrzy do koła.) Ha!
ha! ha! co to za pocieszny człowiek, to pewnie
ojciec Hanki organista tutejszy. Otóż zaraz je-
dna potrzeba więcej znajomości (usuwa się na
bok.)

S C E N A 6.

J ó z e f, M e l o d y a

(ubrany w długą kapotę, długie buty, na szyi o-
gromna biała chusta, wchodzi niepewnym krokiem
mruczając pod nosem jakąś śpiewkę.)

He, he, he, (mówi) A to dopiero była ucie-
cha (oblizuje się.) Ktoby się był tego też spo-
dziewał, że taki Andrzej Ćmieląg sprawi taki
kiermasz. Było baraniny, cukru, pieprzu, szafra-
nu, gwoździków, kiełbas, co niemiara! Fiu, fiu!
niech się i sam Dobrodziej z odpustem schowa.
Ale to wszystko nic przeciw wódce, którą An-
drzej przed nami całemi garncami postawił! a co
to była za wódka! przepalana z miodem i ma-
słem (oblizuje się.) O kiermasz był całą gębą.

łacze także były smakowite z cebulą i czosn-
 m, że człowiekowi aż język ścierpł od same-
 oblizywania się. He! he! he! jak wstąpi-
 n do pokoju Andrzeja i stanąłem przed sto-
 a, to mi nos tak wiercił i nadymał się od sa-
 go zapachu (kręci nosem.) Najpierw leżała
 a misa baraniny, a koło niej kręciły się kiel-
 sy, a to tak naprzykład, jakby najpiękniejsza
 ewczyna wiankiem się umiała, a nad barani-
 stały butelki z wódką przepalaną. Jak na to
 zystko popatrzyłem, to ani śpiewać, a o wycią-
 niu już ani mowy nie było. Ot tak, (pokazuje)
 stał stół, a tu ja, nie, tu stół, tu ja, tak, tak,
 ja. Stałem przed stołem i śpiewam li, li,
 (krzaka i łyka łakomie) tfu, tfu co za dobra
 dka — li li li (krzaka i spluwa.)
 ni rusz nieszło do góry wyciągnąć, ale jak so-
 e łyknąłem jeden i drugi kieliszek, to jakby
 lepszą kalafonią smyczek posmarował, (glasz-
 a się po gardle) jak potem ryknąłem, to cała
 omada gęby porozdziwiała, naprzykład tak
 ewalem (podnosi głowę do góry i stawia na
 łcach i śpiewa bardzo wysokim głosem.)

J ó z e f

(tłumiąc śmiech w sobie.)

Trzeba go obudzić z jego słodkiego marze-
 a (rusza nogami i kaszle.)

M e l o d y a

(obraca się i spostrzega Józefa.)

A to co za indywiduum? (prostuje się i przybiera dumną postawę.) To jakiś czarodziej (wyjmuje z kieszeni jakąś książkę i niby czytając macha rękami po powietrzu, jakby co wykładał, potem myśli.)

J ó z e f

(występuje z ukrycia.)

Dzień dobry! (Melodya kiwa głową i dalej czyta. Na stronie) Ten dygnitarz wiejsk imponuje mi swą dumę (głośno) Przepraszam że panu przeszkadzam w czytaniu, lecz jestem nieznamy i chciałbym się tu rozpatrzeć.

M e l o d y a

(na stronie.)

Nie mówiłem, że to jakiś czarodziej, albo pewnie jaki kupiec z miasta. Trzeba mu pokazać że tu są ludzie uczeni (głośno z dumą.) A czego to pan potrzebujesz, życzysz i żądasz?

J ó z e f.

Odbywam podróż po

M e l o d y a

(krzaka na stronie.)

Źle go się zapytałem, zapomniałem jeszcze

jednego słowa „pragniesz“ — trzeba jeszcze raz powtórzyć (krzaka i zapytuje się z dumą.) **A** czego to pan potrzebujesz, życzysz, żądasz, lub pragniesz (na stronie.) Niech zna z kim ma do mówienia.

J ó z e f

(tłumiąc śmiech.)

Jestem obcy i chciałbym się zapytać pana o okolicę i dalszą drogę.

M e l o d y a.

A zkąd pan?

J ó z e f.

Z miasteczka.

M e l o d y a.

Z miasteczka? nie byłem tam jeszcze, ale to podobno straszna dziura (z dumą.) Byłem tylko w mieście przez rok cały, nawet księżom służyłem i mam w mieście krewnych, to jest: stróż nocny i kucharz w seminaryum, to moi kuzynowie, tak kuzynowie.

J ó z e f.

Co za wysokie pokrewieństwo! a jeżeli welto zapytać, jakież szanowne imię pańskie?

M e l o d y a.

Nazywam się Stanisław Melodya.

J ó z e f.

A pańska godność?

M e l o d y a.

Jestem organistą, pałamaszem i profesorem.

J ó z e f.

In una persona? (To zn. w jednej osobie.)

M e l o d y a.

O nie, una persona nie jestem (na stronie.)
Co to za tytuł? (głośno) nie lubię przyswajać
urzędu w którym nie jestem. Ja nie jestem tym
urzędem tym ... tym ... tym ... una persona.

J ó z e f.

A, szczególna skromność, nie ma co mówić.

M e l o d y a.

Mam dosyć na mojem dotychczasowem urzędowaniu, aż mi się głowa kręci, a przecież głowy nie mam od parady. Nie masz bratku wyobrażenia, co to potrzeba umieć i robić, aby zostać organistą!

J ó z e f.

Proszę ! naprzykład ?

M e l o d y a.

Ho ! ho ! ho ! to sztuka nie mała ! Najpierw musisz umieć śpiewać jak się patrzy wszystkie akafisty, tropafisty, tropary, parostary, musisz znać na palcach wszystkie odpowiedzi przy służbie Bożej, abyś Dobrodziejowi zamiast „amen“ nie odpowiedział „alleluja“. Musisz dalej umieć wyszukać księdzu z ewangelii należytą kartę, to jest tę która założona jest tasiemką, lub którą ksiądz Dobrodziej zagiął przed służbą Bożą.

J ó z e f.

A to rzecz niemala !

M e l o d y a.

A ewangelia to księga taka gruba (pokazuje rękami.)

J ó z e f.

Proszę ! co dalej ?

M e l o d y a.

Co dalej ? zaraz, zaraz, co dalej... hm... hm... musisz umieć na pamięć mnóstwo kolend i pieśni kościelnych. A... a... poczekaj, a teraz musisz dawać w szkole pertekeye, to zna-

czy, musisz umieć na pamięć i znać male i wielkie abecadło i rachunki to jest: adiren, subtrahiren, multipliciren, diwidiren, sylabiren, buchstabiren, lautiren, hm... hm... hm... iren a, a-a, iren i to ten tego, chciałem mówić i tak dalej. A po niemiecku to tak trzeba paplać jak na pytlu, na przykład (przybiera postać egzaministyczną i trzepie prędko.) Was ist das selbstlaut? was ist ain chalblaut? wie fiel redenthaile chaben wir? erste das chauptwort, zwaitens das raiwort, dritens das cahlwort...

J ó z e f.

Dosyć, dosyć, panie profesorze !

M e l o d y a.

A widzisz nieboże ! (na stronie.) Jak się zdziwował, ot barania głowa (głośno.) A jak się nazywasz ?

J ó z e f.

Kamieński.

M e l o d y a.

Kamieński ? ha ! ha ! ha ! to także nazwisko. Już to muszę Panu Bogu podziękować, bo mi dał nazwę ludzką. Kamieński ha ! ha ! ha !

J ó z e f.

Ha! cóż robić, panie Melodyo.

M e l o d y a.

No, no, to nic nie szkodzi. My tu mamy wójta, dureń, barania głowa za pozwoleniem. gorsza jeszcze niż ta, co była na kiermaszu u Andrzeja. Nazywa się Michał Grządziel ha! ha! ha! Michał Grządziel ha! ha! ha!

S C E N A 7.

Ci sami

Hanka, Janek, Grządziel, Magdalena i Wilhelm
(ubrany w żołnierskim kabacie. Z lewej strony przychodzą Janek i Hanka.)

M e l o d y a

(zakłopotany.)

Oto nadałem sobie bobu!

Ś p i e w III.

M e l o d y a

(śpiewa.)

A to zemnie ośla głowa!

J ó z e f
(śpiewa.)

Organisto, rzecz to nowa.

H a n k a
(śpiewa.)

Co takiego?

J a n e k
Czy się pali?

M a g d a l e n a
(śpiewa.)

Czy się wali?

M e l o d y a
(śpiewa.)

Ach dla Boga wszechmocnego!

W ó j t
(śpiewa.)

Kto mnie woła i dla czego?

W i l h e l m
(śpiewa.)

Szwer not, kryminal!

W ó j t

(mówi.)

Mówcie co się stało?

W i l h e l m.

Melduj, was ist das?

M e l o d y a.

Ej nic, nie.

W ó j t.

A czegoście wrzeszczeli na mnie z całego gardła.

J ó z e f

(na stronie.)

A to pocieszna scena.

M e l o d y a.

Ja sobie tylko tak, tak z ochoty.

J ó z e f.

Z ochoty panie wójcie, z ochoty.

M a g d a l e n a.

Patrzaj, jak się uraził! Dziwo! jaka mi ważna osoba! (staje ze założonemi pod bok rękami przed wójtem) Alboż to memu mężowi nie wolno krzyczeć przed własną chatą?

W ó j t

(cofa się w tył i spluwa.)

Licho nie baba, niech sobie krzyczy, ażby mu się gardło rozsądziło jak stary worek z kartoflami. Ale po co ma wołać moje imię? Albo ja jaki zawałidroga, żeby kto moje imię poniewierał. Ja wójt, a on co? lichy organista.

M a g d a l e n a.

O rety (podrzeźniając) wójt, wójt! patrzcie jak się dmie jak pchła na mrozie! A cóż to organista złego?

W ó j t.

Czy złego, czy nie złego, ale zawsze nie to co wójt.

Ś p i e m IV.

Duet.

W ó j t.

Niema w świecie nad gromadę
Nad wójta w gromadzie,
Wójt najpierwszy daje radę,
Organista w zadzie.

M e l o d y a

(z dumą śpiewa.)

Organista wielkiej wagi
Gromada hołota,
Dwie tylko we wsi powagi:
Dziedzie, organista.

W ó j t.

Wójt się z organisty śmieje,
Wójta nikt nie ruszy!
Wójt jak splunie, to zaleje,
Jak chudnie — wysuszy.

M e l o d y a.

Organistę czczą i panie
Bo ważna figura,
I ma wielkie poważanie
U samego gbuła.

W ó j t.

Na samej w urzędzie, panowie
Polegają radzie,
I czy jest co, niech kto powie
Nad wójta w gromadzie?

M e l o d y a.

Za nic w świecie wszystkie stany,
Za nic wszystkie sztuki,
Kto zaś chłopców, te bałwany —
Wyucza nauki?

W ó j t.

Wójt na każdy termin stanie,
Wójt wszystko uzyska,
Wójt i w mieście wytumani
Listy od pastwiska.

M e l o d y a.

Ja gromadzie swoją głową
Jak słońce przyświecam,
Umiem czytać, także mową
Wszystkich was nauczam.

W ó j t.

(do Janka.)

A ty Janku — abyś słyszał,
Pożegnaj się z Hanką —
Choćbyś do mnie o nią pisał
I samą łacinką.

(Odchodzi na prawo, Magdalena z Melodya
na lewo, spoglądając na siebie z ukosa i podrzy-
żniając się nawzajem.)

H a n k a

(do Józefa.)

Widzicie paniczu, jak się swarzą. O niema
dla mnie nadziei, niema (odtrąca Wilhelma, któ-
ry się do niej zbliżył.) Idźże odemnie ty stra-
chopudzie!

W i l h e l m.

Szwer not noch a mal! ja strachopud! Alboż to ja nieprzystojny chłopiec! Nie było mar-szu aby za mną z batalion dziewczek nie leciało, jak kanarki za cukrem. Szwer not kryminal noch a mal! ani rusz niechce mi to wleść do łba, tak jak patrona za gruba do giweru, abys ty się we mnie aż pod halstuch i dziurki w nosie nie zakochała. Przecieżem żołnierzem tam do licha: burszą chciałem powiedzieć. Gott mnie tak nach der forszryft stworzył, jakbym był najlepszym regiment szneidrem.

J ó z e f

(śmieję się.)

To mi niespodzianka.

W i l h e l m

(spogląda dumnie na Józefa.)

Was ist das? melduj się pokornie; co on za jeden? Szwer not kryminal! do raportu, albo sztokhausu, sztokstraichu, krumgeszlossen!

J ó z e f

(śmiejąc się.)

A więc to twój kochanek, Haneczko, (do Wilhelma) miło mi poznać! (uchyla kapelusza.)

H a n k a.

(do Józefa i Janka.)

Chodźcie, chodźcie z tą, bo ten dziwoląg jak swój język rozpuści, toż strach słuchać (odchodzą.)

W i l h e l m.

Mają bojaźń przedemną, jak rekrut przed panem kapralem ho! ho! subordynation (ogłąda się.) Już znowu idą faindy (z prawej wójt z lewej Magdalena.) (Dźwiga rękę do głowy.) Pardon! Friede — Serwus —

S C E N A 8.

(M a g d a l e n a, w ó j t.)

M a g d a l e n a.

Trzeba temu wójtowi utrzyć nos jak szkłem (woła.) Hanko! Hanko!

W ó j t.

(na stronie.)

Już ja tej starej czarownicy przynajmniej raz dojadę. Ale teraz trzeba ją poszarpnąć za honor, jak psa za ogon! (woła.) Janku, Janku! (Hanka z jednej, Janek z drugiej strony wchodzi.)

S C E N A 9.

Ci sami. Janek, Hanka.

M a g d a l e n a

(staje z groźną miną przed Hanką.)

Słuchaj Hanko! (zaciska dłonie) już wiesz od dawna że pójdziesz za Wilusia syna młynarzewego!

W ó j t

(do Janka ostro.)

Mówilem ci już nie raz że się ożenisz z Kundzią, córkę hamsdynera ze sztaigeramtu!

M a g d a l e n a.

Pamiętajże! żebyś na syna tego głupiego wójta, tego wojtusia, wojciny, wojtaszka, ani patrzyła, bo inaczej sprawię ci taki bal, że go niezapomnisz póki życia.

W ó j t.

Nie zapominaj Janku! abyś na córkę tego dumnego organisty ani nawet nie patrzył, bo to zawalidroga, organista, bożyduda i organiściatko, inaczej wygarbuje ci skórę na podeszwy (odchodzi do chaty grożąc pięściami. Magdalena to samo, daje mu znaki swego gniewu, odchodzi.)

S C E N A 10.

Janak, Hanka.

J a n e k

(bierze rękę Hanki.)

Ach!

H a n k a.

Ach! (milczą oboje.)

J a n e k.

I cóż Handziu?

H a n k a.

I co Janku?

J a n e k.

Pójdiesz za Wilusia, za tego cudaka co mówi jakby z każdego kraju kawał języka przyniósł ze sobą, a wygląda w swym kabacie jak bez rogu w chomącie.

H a n k a.

Ożenisz się z Kundzią córką hamsdynera od staigeramtu, co chodzi jak kaczka po błocie, a ubiera się pstro jak gąsienica (odwraca się.)

J a n e k.

Handziu nie mów tak, bo się pogniewam.

H a n k a.

A ja nie mam się o co gniewać?

J a n e k

Handziu!

H a n k a.

J a n k u!

J a n e k

(w uniesieniu.)

Handziu! Handziu! Ja ciebie tak kocham,
tak mocno kocham, żebym oddał za ciebie wszy-
tko co posiadam. Kocham cię tak jak ukocha-
ną ojczyznę, jak strzechę ojcowską.

H a n k a.

I ja ciebie także kocham, bez ciebie żyłbym
nie mogła, umarłabym z tęsknoty!

J a n e k

(ścisnąc rękę.)

I nie przestaniesz mnie kochać?

H a n k a.

O nigdy nigdy! prędzej słońce stanie i gó-
ry się obróca w doliny.

J a n e k.

A ja zabiłbym Wilusia, gdyby cię do kościoła prowadził. Prędzej skoczę do wody, rzucę się ze skały i głowę sobie rozbiję, niż wezmę kogo innego jak ciebie.

H a n k a

(z płaczem.)

I cóż z tego, kiedy rodzice wszystkiemu przeciwni. O biedniśmy, biedni na tym świecie!

Ś p i e w V.

Duet.

H a n k a.

Lecz Bóg nasza opieka,
Ja w nią z ufnością wierzę,
Co może złość człowieka
Gdy Bóg miłości strzerze.

J a n e k.

Porzućmy troski, płacz,
Niech serce nie boleje,
Bóg jutro da inaczej,
Choć dziś się źle nam dzieje.

H a n k a.

Lśni r. sa na zieleni
I ciszej kwili ptasze —
Kto wie czy się nie zmieni
Jutro cierpienie nasze.

J a n e k.

Choć słońce zniknie z nieba
I czarna noc zawisnie,
To Bogu ufać trzeba
Że ranek jasno błysnie!

J a n e k H a n k a

(razem.)

Choć wielka zawisć wroga.
Stałości nie przemoże!
Silniejsze ramię Boga,
Wnet szczęścia błysną zorze!

Zasłona spada.

Koniec aktu pierwszego.

Akt II.

Scena przedstawia górzystą i na pół dziką okolicę. Po obu stronach krzaki, w głębi widok wioski, za sceną słychać brzęk kos i wesołe piosenki żniwiarzy. Na scenę wchodzi kilku wieśniaków, z których jeden śpiewa.

S C E N A 1.

Wieśniacy z kosami do żniwa.

(Młody wieśniak śpiewa :)

Ś p i e w VI.

Słońce zeszło z po za szczytów,
Błyszczą w rosie wrzosa,
Ptaszek zawisł u błękitów,
Brzmia pastusze głosy.

Tam na bujnej błoni,
Wśród kwiatów i woni,
Świetle słońca, błysku rosy,
Zabrzęczą nam kosy.

(Chór wieśniaków.)

Zabrzęczą nam kosy.

Młody wieśniak.

Dalej chłopcy do roboty,
Bo to życie nasze,
A zanuemy pieśń z ochoty
Gdyby wolne ptasze.

Nuż na łakę dzieci,
Zieleni się niwa,
Słoneczko nam świeci,
Skowronek nam śpiewa.

(Chór wieśniaków.)

Skowronek nam śpiewa (odchodzą.)

S C E N A 2.

H a n k a i J a n e k.

(wchodzą z lewej strony.)

J a n e k.

Słońce tak pięknie zeszło, ranek tak jakiś miły i wesoły, że mimowoli jakaś otucha garnie się do serca. Nie wiem dla czego, ale jakaś nowa nadzieja wstąpiła we mnie, że choć wielka niechęć ludzi, przecież naszej stałości nie prze-
może! Bóg nad nami!

H a n k a.

Tak — Bóg! i dobrzy ludzie!....

J a n e k.

Dobrzy ludzie powiadasz? co mówić o ob-
cych, kiedy nam nasi własni rodzice przeciwni!

H a n k a.

No, no, posłuchaj a uwierzysz, że są i ludzie dobrzy, którzy nam są życzliwi. Czy widziałeś tego młodego panicza, co wczoraj przyszedł piechotą do nas?

J a n e k.

Widziałem; ten szkolarz? w czarnej sukma-
i białem kapeluszu słomianym, chodzi wszędzie,
drapie się jak kot po górach, ogląda się po wsi,
i coś sobie do książki zapisuje.

H a n k a.

Ten, ten sam.

J a n e k.

No i cóż nam po nim?

H a n k a

O bardzo wiele! ja ci powiadam to jest
wielki znawca i czarownik.

J a n e k

Ej Handziu! Handziu; nie pleć plotek,
zkażdby się tu wziął czarownik.

H a n k a.

No, czarownik czy nie czarownik, ale bar-
dzo dobry i nielada ma rozum w głowie. On
wie nawet że się kochamy.

J a n e k.

Patrzcie ! co mi za rozum, przecież o ~~tem~~
wie cała gromada.

H a n k a.

Ale proszę dajże mi skończyć ; otóż ten
pan obiecał mi święcie, że tak będzie myślał, tak
kręcił.....

J a n e k

(przerywając.)

Aż tak nie wymyśli i nie wykręci, abyśmy
się pobrali, co ?

H a n k a,

Zgadłeś !

S C E N A 3.

J ó z e f

(wchodzi.)

Otóż i para gruchających gołąbków ! (Ja-
nek i Hanka obracają się do Józefa.) Proszę,
bardzo proszę, nie przeszkadzajcie sobie państwo !

H a n k a

(do Janka na stronie.)

To ten !.....

J a n e k

(zdziwiony na stronie do Hanki.)

Ten?

H a n k a

(na stronie.)

Ten znawca!

J a n e k

(na stronie.)

Ten szkolarz?

H a n k a

(na stronie.)

Ten czarownik!

J a n e k

(na stronie.)

Ten krętacz?

J ó z e f

(na stronie.)

Cóż tam moją osobę mocno miluje zakocha-
na para. Ale dobrze że ich napotykam. Mam
plan gotowy i muszę weń wtajemniczyć Hankę
(głośno.) Jak się macie dzieci? (na stronie.)
Oczywiście moje dzieci bo ich łączę ze sobą.
(Janek kłania się.) (głośno do Hanki.) A więc
to twój kochanek?

H a n k a

(zarumieniona.)

Ej, jak to jegomość umieją odgadywać.

J a n e k.

A ten sam jestem, proszę pana !

J ó z e f

(do Hanki.)

Ależ zapoznaj mnie Handziu z twoim Jankiem.

H a n k a.

Niepotrzeba ; on wie dobrze co wy za jeden

J ó z e f.

Czy tak ?

J a n e k.

A jużci, to pan? proszę pana, jest ten pan, co ma tak sztydyrować i sztydyrować, i cyganić i cyganić, aż póki z nas, z Handzi i ze mnie wójtowego syna, nie wysztuderuje i nie wycyga ni męża i żonę (kłania się komicznie.)

J ó z e f

(na stronie.)

Aha ! z Handzi męża, a z niego żonę, ha ! ha ! ha ! (głośno.) A tak, tak, to ja jestem.

J a n e k.

Ej gdyby to pan szkolarz tak zrobił, byłbym wiele panu szkolarzowi wdzięcznym.

H a n k a.

I ja także bardzo wiele.

J a n e k,

Ale ja tu sobie gadam, a parobcy już dawno w polu, trzeba i mnie spieszyć (wychodzi.)

S C E N A 4.

J ó z e f, H a n k a.

J ó z e f

(do Hanki.)

Słuchajże Haneczko! już wszystko tak obmyślałem żeby było dobrze, zobaczysz że Janek będzie twoim, tylko musisz zrobić co ci powiem.

H a n k a
(radośnie.)

Ach gadajcie, gadajcie paniczu, cobym ja nie zrobiła dla mego Janka.

J ó z e f.

A więc słuchaj: (sposstrzega nagle wchodzącego Wilhelma.) Otóż macie i ten gamoń.

S C E N A 5.

C i s a m i, W i l u ś.

W i l u ś
(kłania się.)

Serwus Hanko, co wy tu dyszkurujecie ?

H a n k a.

A tobie co do tego. Poszedłbyś swoją drogą.

W i l u ś.

Patrzcie ! (obraca się do Józefa.) A to co za wagabund ? halt wer da ! gut fraind albo nie ? szwer not noch a mal.

H a n k a.

Mówię ci żebyś poszedł swoją drogą, a nieczepiał się ludzi, jak pijany plotą.

J ó z e f
(do Wilusia.)

Szukam służby.

W i l u ś.

Ale mnie się zdaje że się ty ferlibujesz do mojej Hanki, a wiesz że ja tego nie lubię.

W i l u ś.

Hanko ty jesteś fain dziewczka ; prawda jeszcze nie ze wszystkim nach der forszryft, ale ja już wyabrychtuję na fain freliczka. Oczy masz bystre jak szterny u pana hauptmana, a usta już takie, jak hobszlegi od Herzog Joseph lien fantarie. Ząbki masz bieluśkie i maluśkie gdyby stoniowe. Nieprawda Annerle! (chwytając ją za rękę.)

H a n k a
(odtrąca go.)

Janku ! Janku !

W i l u ś.
(ogląda się z bojaźnią.)

No, no, nie mam czasu, muszę szpacirować,
Serwus, Serwus — (prędko odchodzi.)

S C E N A 6.

J ó z e f, H a n k a.

H a n k a.

Przecież sobie poszedł ten niezdara.

J ó z e f.

A co dopiero będzie, gdy się z tobą ożeni!

H a n k a
(z wyrzutem.)

A wasza obiecanka ?

J ó z e f.

Nie bój się, już ja o wszystkim pamiętam, zaraz się zabiorę do tego, aby Wilusia na dudka wystrychnąć. Ale mi musisz do tego pomóc (do siebie.) Już co do tego, to niepotrzebne zawazwanie. Gdzie o to chodzi, aby kogo na dudka wystroić, tam kobiety całem sercem pomagą.

H a n k a.

O jeżeli tylko o to chodzi, to z całego serca !

J ó z e f

Widzisz ją, nie mówiłem (głośno.) A więc słuchaj, musisz kochać Wilusia.

H a n k a
(zdziwiona.)

A paniczek co gada, ja mam kochać Wilusia? to mi piękne czarowanie.

J ó z e f.

Tak być musi i nic nie pomoże. Albo mu-

sisz kochać Wilusia przez kilka chwil, albo po-
żegnaj się na zawsze z Jankiem. Wybieraj!

H a n k a
(z niechęcią.)

Ale tylko na kilka chwil?

J ó z e f.
Tak, tak, więcej nie potrzeba.

H a n k a.
I cóż z tego dalej będzie?

J ó z e f.
Zaręczyny i wesele?

H a n k a.
Ale z kim?

J ó z e f.
A jużci z Jankiem wójtowym.

H a n k a.
Złote słowa mówicie, gdyby się tylko speł-
niły. Ale jeszcze jedno paniczku, ja niepotrafię
kochać tego mazgaja.

J ó z e f.
Ej potrafisz, potrafisz! czegooby kobieta nie

potrafiła. Udawaj że go lubisz, że go kochasz, że za nim przepadasz, że bez niego żyć nie możesz

H a n k a.

Już będę próbowała, ale na cóż się to przyda?

J ó z e f.

Nie bądź ciekawą i nie pytaj się o to, w tem już moja głowa, a teraz idź, bo Wiluś nadchodzi, a ja mam z nim coś na osobności do pomówienia (Hanka odchodzi.)

S C E N A 7.

J ó z e f, W i l u ś
(wchodzi, ogląda się.)

To był tylko szpas! Janka niema nigdzie. Akurat jakbym się Janka bał. Ja się sześcior nie boję jeżeli — jeżeli sam jestem (sposstrzega Józefa.) Serwus Wagabund!

J ó z e f
(na stronie.)

Nie złe powitanie, ale cóż robić, idzie tu zakochaną parę (głośno.) Serwus, Serwus!

W i l u ś.

No, co tam słyhać? — melduj!

J ó z e f.

Oj źle panie kapral ?

W i l u ś

(na stronie.)

Panie kapral mi powiedział, to musi być jakiś mądry człowiek, muszę go także honorować, tym samym tytułem jak mnie pan feltfebel nazywał (głośno.) A dla kogo i dla czego źle panie wagabund ?

J ó z e f.

Dla kogo ? dla was

W i l u ś.

Co, dla mnie ? szwer not noch a mal (na stronie.) Czy też czasem Janek rebelacyi przeciw mej skórze nie knuje (głośno.) Panie wagabund, ale dla czego źle, na przykład ?

J ó z e f.

Dla czego ? bo was dziewczęta nie chcą kochać.

W i l u ś

(na stronie.)

Patrzcie ! to mi zgadł (z dumą, głośno.) Ej to nie prawda panie wagabund, mnie dziewczęta kochają jak muchy cukier.

J ó z e f.

Niewiem, ale Hanka jakoś krzywo na was patrzy.

W i l u ś.

Hanka to jeszcze rekrut, a każdy rekrut głupi i płacze gdy go wezmą pod miarę. Ale jak już raz do fany przysiągnie i potem ma włosy obstrzygą, a kapral go wyabrychtuje, to już idzie tak jak po maśle.

J ó z e f.

Wszystko dobrze, ale Hanka uparta i gotowa ze wsi uciec, a natenczas byłby dla was wielki wstyd.

W i l u ś.

Masz recht, szwer not noch a mal! ho! hej! naprawdę dziewczka uparta, wartoby ją oddać do sztrafkompanii — ej możebyście wy na to co poradzili, panie wagabund.

J ó z e f.

Hm! Hm! możebym i co pomógł (namysla się.) (Uderza się w czoło) ach mam już....

W i l u ś.

Masz, to trzymaj fest i marsz in doppel-schryt z gęby ze słowami.

J ó z e f.

Słuchajże dobrze, kobieta to bardzo dziwaczne stworzenie, i niełatwo ją przyprowadzić na swoje. Ale jest i na nią sposób. Dopóki Hanke kochacie i jej nadskakujecie, dopóki koło niej zachodzicie i smolicie cholewki, to ona stroi miny i ani patrzeć na was nie chce.

W i l u ś.

Ach! to jest rychtyk!

J ó z e f.

Otóż jeżeli nie można prosto, to trzeba manowcami. Przestańcie Hanke kochać i nie patrzcie na nią i udawajcie że wcale o nią nie stoicie. To ona was sama kochać będzie, i sama za wami latać będzie, że jej kijem nie odpejdziecie.

W i l u ś.

Szwerc not noch a mal, co też z was za studyr, choćby jaki czarownik.

J ó z e f.

A więc rozumiesz?

W i l u ś.

Naturalnie że rozumiem jak się patrzy — kiedy ja robił forwertc to ona robiła rykwertc,

teraz ja zrobię rykwerc, a ona będzie robić forwerc.

J ó z e f.

Tak! Tak! tylko tak róbcie, żeby się na tem nie poznała.

W i l u ś
(ogląda się.)

Ktoś nadchodzi, jeżeli też nie Janek, zaraz przyjdę. Serwus (odchodzi.)

S C E N A 8.

J ó z e f, W ó j t (wchodzi.)

J ó z e f.

Dzień dobry panie wójcie!

W ó j t.

Dzień dobry, ale nie dla mnie.

J ó z e f.

Dla czego dla was nie dobry.

W ó j t.

Ej! przyjacielu mam wielki kłopot i przychodzę do was prosić. Mój syn Janek mi mówił, że z was ma być tegi szkolarz, i żeście pono aż na czarownika wysztuderowali.

J ó z e f
(śmiejąc się.)

Tak! ja jestem tym Hokusem pokusem.
I czegoż żądacie, pewno wam kto konie pocza-
rował.

W ó j t.

Mniejsza o konie, tylko mój syn jedynak za-
kochał się w tego dumnego organisty córce, i a-
ni rusz nie mogę ich rozłączyć. Chłopak już
zbladł i nawet się boję żeby nie dostał suchot.
Już bym i przystał na ten związek, gdyby tylko
mojego honoru nie utracić, bo organiścina to
szpetne babsko, gotowa przed całą gromadą wy-
bełkotać, że się z mojem synem wpraszam. Mo-
żebyście wy w tem co poradzili, za to bym wam
dał furę siana.

J ó z e f
(śmiejąc się.)

Siana nie jadam, ale wam zaręczam że Jan-
ka z Hanką ożenie, i to bez naruszenia waszego
honoru.

W ó j t.
Jeżeli się tylko tak uda?

J ó z e f.
Oto moja starość, gdy was zawołam, nie

róbcie długich ceregieli, tylko przyzwólcie. Gdyż wam mówię, że wasz honor zostanie wysoko, tak jak wieża na kościele.

W ó j t.

Jeżeli tak zrobicie, to wam jeszcze dołożę cielę.

J ó z e f.

Dobrze, dobrze, lecz teraz idźcie tą stroną, bo organiścina nadchodzi, a mam z nią coś ważnego do mówienia.

W ó j t.

Do widzenia, tylko zróbcie dobrze, to święcie cielę dołożę (odchodzi.)

S C E N A 9.

J ó z e f, M a g d a l e n a.

M a g d a l e n a.

Dobrze że paniczka znalazłam, bo mi moja córka wielkie rzeczy o panu mówiła, że podobno pan jest tak wyhdukowany, że potrafi i krowie mleko odebrać.

J ó z e f.

Tak! ja wszystko potrafię!

M a g d a l e n a.

Kiedyście tak mądrzy, to mi też co doradzicie. Bo to widzicie moja dziewczka oszalała za wójtowym synem, a ja przecież na takie małżeństwo przyzwolić nie mogę, bo co organista to nie wójt.

J ó z e f.

Macie rację!

M a g d a l e n a.

Widzicie, jabym ją rada wydała za niejakiego Wilusia, bo to chłopak jadł chleb już nie z jednego pieca, wyhdukował się przy wojsku, że mówi jak na pytlu po niemiecku, i może wkrótce zostać jakim wysokim urzędnikiem.

J ó z e f

(namyśla się.)

W tej rzeczy wam pomódz nie mogę, ponieważ Hokus pokus powiada, że na ten związek przystać nie może. A to z tej przyczyny, że ten Wiluś wcale miłości do waszej córki nie posiada, tylko chciałby ją za żonę pojąć z powodu waszego majątku.

M a g d a l e n a.

Boże zachowaj, to nie prawda co ten Hokus smokus powiada. Wiluś za nią przepada, tylko moja córka na niego patrzeć nie chce.

J ó z e f.

Matko, jesteście w błędzie; przedemną nie jest zatajone, ja wam mówię, że on do waszej córki w ten czas pięknie mówi, gdy wy słyszycie, ale po za oczy... nie będę dalej mówił. Możecie się sami przysłuchać. Wiluś powraca z łąki, a Hanusia z ogrodu; ukryjcie się za ten krzak i przysłuchajcie się ich rozmowie, a potem osądzicie, jeżeli wam prawdę mówiłem.

M a g d a l e n a

(ukrywa się.)

Dobrze, tylko ani słówka o mnie nie piszcie.

J ó z e f.

Już będę milczał (do publiczności.) Ach! to zabawna scena, ale jak się nie uda, to pewno mój grzbiet będzie w robocie, lecz nie traćmy nadziei.

S C E N A 10.

J ó z e f, W i l u ś, H a n k a,

M a g d a l e n a (ukryta.)

W i l u ś

(do Józefa.)

Serwus wagabund, melduj jeżeli niewidziałeś Hanki.

J ó z e f.

Oto nadchodzi, (pokazuje) ale niezapominajcie panie kapral co wam mówiłem.

W i l u ś.

To gut, zaraz będzie wiedzieć co ja zna-
zę. Hm! ale kiedy niewiem jak to mam
począć.

J ó z e f.

To bagatela, stójcie sobie na stronie, oczy
zwrócić w inną stronę, a czasem jej też słówko
odpowiedzieć, tak choćby z niechcenia. (Wiluś
obraca się tyłem do Hanki, oczy zwraca do
góry.)

H a n k a

(wchodzi.)

Dobrze że panicza znalazłam — (sposstrzega
Wilusia.) Oto i ten gamoń.

J ó z e f

(do Hanki.)

Witajże Haneczko (na stronie) pamiętaj że
właśnie na to pora.

H a n k a

(na stronie do Józefa.)

Ej kiedy mi to tak trudno.

J ó z e f
(na stronie.)

Tylko zaraz, bo inaczej Janek przepadł na wieki.

H a n k a
(z przymuszonym naciskiem.)
Wiluś! Wilusiu!

J ó z e f
(szepce jej do ucha.)
Dobrze! dobrze, tylko tak dalej!

W i l u ś
na stronie kiwając pogardliwie ręką.
Jak do mnie pięknie mówi, dobrze mi ten czarownik poradził. Teraz ją anstrajchuję jak się patrzy.

J ó z e f
(Wilusiowi do ucha.)
Tylko tak dalej!

H a n k a
(na stronie.)

To prawdziwy czarownik, jak powiedział tak się dzieje, już mnie się odczepia.

W i l u ś

(do Józefa po cichu.)

Ale to u was rozum, za nic pon feldfebli.
Ale ona was podobno po cichu prosiła o radę,
nie radźcie jej niech pozna co ja jestem (ścis-
ka Józefa za rękę.)

J ó z e f.

(do ucha.)

Niech pozna, niech pozna (do publiczności.)
To prawdziwa komedya, gdyby się tylko udała.
(Mówi Hance do ucha.) Hanusiu dalej.

H a n k a.

Czy się na mnie gniewasz Wilusiu?

W i l u ś.

Patrzcie! no i choćbym się gniewał, to mi
ty nie masz nic do rozkazu (na stronie.) Jak się
to zdziwowała, jak rekrut na wachparadzie.

H a n k a.

Słuchajże Wilusiu, przecież mówiłeś że mnie
kochasz, a teraz gdzie ty patrzysz?

W i l u ś.

Oto patrzę na niebo swojemi oczami, czemu
to słońce chodzi i chodzi po szyldwach i nikt

go złuzować nie przychodzi. Ciekawość czy też w niebie są kaprale? (na stronie.) Jak się dziewczucha rozpałała.

H a n k a
(błagalnie.)

Wilusiu! Wilemku! dla czego stoisz jak posąg wyciosany z kamienia i nic nie mówisz, a gdy matka widzi, to za mną przepadasz.

M a g d a l e n a
(wyskakuje z krzaka)

A to co? co ja słyszę, ty bezwstydną dziewczę, to się ty będziesz prosić temu strachopudowi?

H a n k a.

Matusiu, to jest wasza wola.

M a g d a l e n a
(ze złością.)

Nigdy, przenigdy na to nie przyzwolę, żeby taki obleciświat poniewierał moim dzieckiem.

W i l u ś
(na stronie.)

Szwer not noch a mal, teraz sobie nadałem bobu, ale z kąd się tu ta stara wzięła?

M a g d a l e n a

(ze złością do Wilusia.)

Ty wilku w owczej skórze, chciałeś ukraść moje kochane dziecko. — Szczęście żeś naprzód pokazał swoje pazurki. Jak tu stoję, jak jestem panią organiściwą, tak ci mojej córki nie dam, nie dam i nie dam (bię pięść o pięść.)

W i l u ś

(do Józefa po cichu)

Panie wagabund, radźcie co mam teraz robić.

J ó z e f.

Przecież mówicie że jesteście kapralem, więc się jednej baby bać nie będziecie, boby to była dla was hańba wielka.

W i l u ś.

Masz recht, szwer not noch a mal (do Magdaleny.) Proszę mnie nie belajdigować, gdyż o waszą Hankę nie stoję.

M a g d a l e n a.

To dobrze rozumiem, tylko o nasz majątek, ale ci pójdzie koło nosa — (do publiczności.) Mój Boże! jaki teraz świat zepsuty, chłopaki nie szukają dziewczyn, tylko majątku. I byłabym

tak marnie dziecko zgubiła. Poczekaj ty urwiszu! ja cię do regimentu opiszę, a widzisz choć pisać nie potrafię, dam pisarzowi gęs i koguta, a jednak na swoim postawię.

W i l u ś.

Halc maul stara jędo, bo tyrkoczesz choćby pytel w młynie.

M a g d a l e n a

(ze złością grozi pięścią.)

Co! co! jak mnie nazywasz? z kim ty mówisz! pisknij jeszcze słówko, to ci oczy wydrapię, ty szwandroku.

W i l u ś

(do siebie.)

Szwer not noch a mal, ona nieszpasuje, mógłbym wnet oczy ferlirować. Malcait (prędko odchodzi na prawo.)

M a g d a l e n a.

Idź ty obludniku (do Józefa.) Bóg zapłać paniczku żeście mnie ostrzegli przed nieszczęściem. Dożebyście wy co wymyślili, jakby go najlepiej karać?

J ó z e f.

On teraz w waszych rękach, ale podług mojej rady i podług ksiąg Hokusa pokusa, to najlepiej go wtenczas ukarzenie, gdy Hanke wydacie a Janka, on będzie pękać ze złości!

M a g d a l e n a.

A cóż tam stoi w księgach tego, tego smokusa?

J ó z e f.

Bardzo wiele, tam stoi otwarcie, że małżeństwo będzie bardzo szczęśliwe.

H a n k a
(na stronie.)

Chwała Bogu!

M a g d a l e n a.

Tak, to wam wierzę. Chodź dziecko do ojca, pomówimy o tem, chodźcie i wy paniczku na obiad, boście zasłużyli (odchodzą na prawo.)

S C E N A 11.

M e l o d y a

(sam wchodzi z lewej pijany, taczając się na wszystkie strony.)

Ś p i e w IX.

Gdy człek sobie łyknie, łyknie, łyknie,
I piosneczką ryknie, ryknie, ryknie!

Wtedy to miło, miło, miło,
Oby się tak żyło, żyło, żyło!

(Mówi) Co to za pocziwy człowiek ten Andrzej; pij nalewaj, pij nalewaj i t. d. A jak człowiek pocziwie łyknie, to mu w głowie zaraz się jakieś dziwne robią termedye —! Zdaje się jakby cała wieś skakała, a nareszcie w moją głowę zajechała! coś mi w niej tak kołacze, jakby w młynie i tak mi szumi jak potok po kamieniach. A słońce zlazło po drzewach jak po drabinie z nieba i w sam środek łba mi się wsadziło. Hej! hej! hej! gdyby to jak najprędzej nadeszło wesze Wilusia z Hanką, to potem będzie uciecha. (Kiwając się idzie ku drzewu, siada pod nim obrócony tyłem do strony, z której inni na scenę wchodzi.) Ba, kiedy to tak daleko do wesela, Hanka ani rusz nie chce Wilusia, tylko za wójtowym synem przepada. Ale to jako będzie, bo od czegóż moja kochana żonka Magdusia.

S C E N A 12.

M e l o d y a, J a n e k, H a n k a,

M a g d a l e n a.

(Janek i Hanka idą pod rękę na drugą stronę sceny, rozmawiając po cichu.)

M e l o d y a

(spogląda za nimi, oczy wyciera.)

Otóż macie, turbowałem się że Hanka Wi-

lusia nie chce, a tu Pan Bóg dał inaczej (pokazuje.) Oto idzie Haneczka z Wilusiem pod rączkę, jak para cielątek. He! he! tak ja dawniej z moją Magdusią chodziłem (wytrzeszcza oczy.) Dalibóg to oni! a to się moja kochana żonusia ucieszy, a wójt pękać będzie od złości! Pięknie Wilusiu, pięknie Haneczko (wyciąga ręce.) Błogosławię was! (chce wstać, lecz głowa za ciężka, siada napowrót) Błogosławię! (Janek i Hanka powracają pod ramię, rozmawiając.) Otóż znowu powracają, pocziwe dziateczki, spacerują sobie ciągle (patrzy za nimi) Wilusiu, Haneczko, kochajcie się, kochajcie (na pół z płaczem.) Niech was Bóg błogosławi! (chce wstać, siada. Janek z Hanką odchodzą.)

M a g d a l e n a

(wpada, spostrzega śpiącego męża.)

▲ ty co tu robisz opoju? jużś znowu pijany jak cztery dziewczki?

M e l o d y a

(wstaje z trudnością.)

O Magdusiu luba, tak ci się zdaje tylko, tak ci się zdaje! (na stronie.) No niema co mówić, i mnie się tak zdaje że mam dosyć.

M a g d a l e n a.

Ot! to moje nieszczęście z takim człowiekiem.

ja pracuje jak wół nieprzymierzając, a on żłapie wódkę jak wodę. Dopiero wracam od ciężkiej pracy, a mój małulek z karczmy. No, chodź do domu ty leniuchu.

M e l o d y a.

No, no daj pokój Magdusiu! nie gniewaj się tak bardzo. Już ja tu daremnie nie siedział, każdy pracuje jak może. — Lud prosty pracuje rękami, a ludzie mądrzy — naprzykład jak ja — pracują głową.

M a g d a l e n a.

Ach! o dziwo! co mi za głowa! Jakby kukurydza wydziobana przez wrony, na suchej łądździe!

M e l o d y a

(nieco rozgniewany.)

Już mi wrony mózgu niewydziobały, a tem mniej oczów. — Żebyś ty wiedziała, co ja widziałem, he! he! he!

M a g d a l e n a.

(zmięszana.)

No i cóż takiego?

M e l o d y a.

Siedziałem pod tym krzakiem,

M a g d a l e n a.
(niecierpliwie.)

I cóż dalej?

M e l o d y a.

I widziałem widziałem ha! ha! ha!

M a g d a l e n a.

No mówże coś widział!

M e l o d y a.

Zakochaną parę widziałem, ha! ha! ha!

M a g d a l e n a.

Nie pleć plotka koszałków opałków, a chodź do domu!

M e l o d y a.

Ba! ale to nie są koszałki ani opałki, posłuchaj tylko co widziałem! najpierw widziałem Wilusia. A...a...a z Wilusiem kogo? zgadnij?

M a g d a l e n a.

Albo ja wiem kogo, przywidziało ci się i koniec.

M e l o d y a.

O nie, nie! jak organistą jestem, a z Wilusiem widziałem Hankę! kochana Magdusiu. —

Nasze kłopoty minęły, Hanka kocha Wilusia.
Wiwat! będzie wesele i wódka z miodem prze-
palana.

M a g d a l e n a.

Figę dam a nie Hanke Wilusiowi, ja nie
chcę brać nieszczęścia mego dziecka na siebie.
Dla Haneczki Janek, syn wójta, i kwita.

M e l o d y a

(z największym zdziwieniem.)

A .. a .. a to co? Przecież sama tak chciałaś?

M a g d a l e n a.

No i cóż z tego! a teraz sama nie chcę!
Hanka pójdzie za Janka, i koniec.

M e l o d y a.

Ale!

M a g d a l e n a

(tapiąc nogą.)

Ani mi murknij! tak być musi (bije pięść
o pięść) ja tak chcę i kwita.

M e l o d y a.

To niech w końcu i tak będzie! czy ten,
czy ów, ale wesele będzie i wódka z miodem i
masłem przepalana.

S C E N A 13.

Ci sami J a n e k, H a n k a

(wchodzą, jak w scenie poprzedniej, pod ramię.
Ujrzawszy Melodyę z Magdaleną cofają się, wo-
lając razem:)

J a n e k, H a n k a

Ach! (spuszczają ręce.)

M a g d a l e n a.

Otóż i nadchodzą, jakby na zawołanie. Jan-
ku! Hanko! pójdzie tu, niebójcie się. (Janek z
Hanką zbliżają się. Magdalena łączy ich dłonie.)
Tak! kochajcie się i od dziś będziecie zaręczeni.

H a n k a

(radośnie.)

Matusiu!

J a n e k

(całuje Magdalenę w rękę.)

Bóg zapłać!

M e l o d y a.

Ja, jako ojciec i osoba kościelna, błogosła-
wię was (Janek i Hanka kłękają.)

S C E N A 14.

Ci sami, Józef z prawej, Wiluś z lewej.

W i l u ś.

A to co? szwet not noch a mal, (do Józefa na stronie.) Wagabund, tyś mnie wyszykował.

J ó z e f

(na stronie do Wilusia.)

Któż tam wiedział że stara za krzakiem podsłuchiwa.

W i l u ś.

Czort niech cię zje z twoim czarowaniem, (do siebie) ferliowałem wszystko, o przejęty czarowniku. Ale cóż robić? Halc maul, bo Janek jeszcze gotów strzaskać mnie na kwaśne jabłko.

M a g d a l e n a

(do Wilusia.)

Tu nie masz nic do szukania, bo widzisz moja córka już zaręczona z Jankiem, a ciebie choćbyś się i prosił za družbę, widzieć nie chcę. rozumiesz?

J a n e k.

Proszę wynoś się, bo tu nie masz twoich kolegów.

W i l u ś
(na stronie.)

Tu widać niema szpasu, lepiej abmaziren!
(odchodzi.)

J ó z e f
Ha! ha! ha! już go niema.

J a n e k i H a n k a
(radośnie.)

Dziękujemy ci stokrotnie drogi kochany panie czarowniku (ściskają go za rękę.)

S C E N A 15.

Ci sami, W ó j t
(wchodząc.)

A to co się dzieje? Janko gdzie.....

J a n e k
(przerywając.)

Kiedy rodzice Hanki pozwolili na moje szczęście, nie odmawiaj mi go i ty ojcie!

H a n k a.

Błogosław nas ojcie (klękają z Jankiem.)

W ó j t

(zdziwiony.)

Nie rozumiem, co tu się stało; — ale niech
i tak będzie, błogosławie was.

M e l o d y a

(biegnie z rozczuleniem do wójta i otwiera
ramiona.)

Szanowny wójcie dobrodzieju, przebaczcie **mi**,
bo będzie wódka z miodem i masłem przepalana.

M a g d a l e n a

(tak samo.)

I mnie przebaczcie!

W ó j t.

Zgoda, zgoda, z całego serca zgoda. — Ale
nie pojmuję jak się to wszystko stało?

J a n e k, H a n k a.

To wszystko zrobił ten pan czarownik.

W ó j t.

Dzięki wam łaskawy paniczku za zgodę dla
nas starych, a za szczęście dla naszych dzieci.

J ó z e f

(z powagą)

Ja z Bożej łaski Józef Kamieński, akade-
mik, dyplomata vulgo czarownik, życzę młodej
parze szczęścia, zdrowia i dobrego powodzenia,
a teraz.....

Ś p i e w X.

Niechaj znikną wszelkie troski
I te częste swary,
I niech chłopcy z całej wioski
Wywijają w pary.

H a n k a

(do wójta.)

Ojcze co go tu widzicie
To czarownik luby,
Pan Bóg zapłać mu sowicie
Bo nas strzegł od zguby.

J ó z e f

Niechaj Pan Bóg ci nagrodzi
Za otwarte serce,
Takim zawsze być się godzi,
Ja was kocham wielce.

J a n e k
(do Józefa.)

Serce wasze — czy pojmiecie?
Żyć tu w mojem będzie,
Do wesela zostanieie
Te mnie cieszyć będzie.

M e l o d y a.

Proponuję że najlepiej
Pójsz nam do karczmiśka,
Niech się każdy łykiem krzepi,
Czarownika ściska!

Zasłona spada.

K O N I E C.

